

Wierzę w ciężką pracę

Rozmowa z Philippe Tłokińskim, odtwórcą roli Jan Nowaka-Jeziorańskiego w filmie „Kurier”.



Philippe Tłokiński, fot. Agencja „Studio Gama”.

Bożena U. Zaremba:

„Kurier” traktuje o jednym z najbardziej tragicznych wydarzeń polskiej historii, Powstaniu Warszawskim, ale film nie do końca jest na serio - to trochę połączenie Jamesa Bonda i Indiana Jones’a.

Philippe Tłokiński:

Pierwszy raz spotkałem się z porównaniem do Indiana Jones’a [śmiech]. Jeżeli chodzi o temat poruszony w filmie, to rzeczywiście dotyka on ważnych wydarzeń z historii Polski. Z

drugiej strony „Kurier” nie opowiada o Powstaniu Warszawskim. Traktuje raczej o jego kulisach. Znamy zakończenie tej historii, ale zawsze pozostanie pytanie, czy decyzja o podjęciu powstania była słuszna. Mimo powagi tematu, twórcy chcieli zrobić kino atrakcyjne.

Jak doszło do tego, że zagrał Pan w tym filmie?

Zostałem zaproszony na casting, który miał kilka etapów. Konkurencja była duża. W końcu dostałem propozycję. Lubię swój zawód i długo nie odmawiałem ról, również w kinie studyjnym, artystycznym. Liczyło się zdobywanie doświadczenia. Dzięki temu trafiłem na plan „Nocy Walpurgii” Marcina Bortkiewicza - bardzo ważnej produkcji w mojej karierze. Na początku pracowaliśmy właściwie za darmo, zależało nam na tym projekcie. Dopiero potem dostaliśmy dofinansowanie. „Kurier” to była wspaniała rola i to pod okiem mistrza kina polskiego.

Co Pana pociągało w postaci głównego bohatera?

Przed rozpoczęciem filmu mało znałem Jana Nowaka-Jeziorańskiego, zresztą podejrzewam, jak większość Polaków. Na castingu musiałem przygotować długie monologi, w tym ten wypowiedziany w komendzie głównej AK. Nie były one wcale łatwe do zagrania, ale ten materiał bardzo mi się spodobał. Kiedy wiedziałem już, że zagram w „Kurierze”, zgromadziłem mnóstwo

książek dotyczących nie tylko samego Nowaka-Jeziorańskiego, ale i czasów, w których żył.



Kadr z filmu „Kurier”, fot. Bartosz Mrozowski.

Urodził się Pan we Francji. Na ile, więc znana była Panu historia i kultura Polski?

Rodzice są Polakami, w domu rozmawialiśmy po polsku. Podczas, gdy wszyscy moi znajomi jeździli na wakacje do Włoch, my spędzaliśmy je w Polsce. W Genewie, gdzie mieszkaliśmy, jest duża społeczność polska, istnieje polski kościół, wokół którego ludzie się gromadzą. Styczność z kazaniem podczas mszy, spotkania z Polakami, umożliwiły mi kontakt z tradycją, kulturą i językiem, który jest kluczem do wszystkiego.

Co zadecydowało o pójściu w kierunku aktorstwa?

To był pewien proces, który działał się krok po kroku. Nie wiedziałem od dziecka, co chcę robić w życiu. Nie chcę, żeby to zabrzmiało pretensjonalnie, bo mam, wobec tego, co się stało dużo pokory, ale to nie ja wybrałem teatr, tylko teatr mnie wybrał. Lubiłem zajęcia z teatru, dobrze mi na nich szło. Pomyślałem wtedy - dlaczego nie scena. Mój ojciec, z kolei, był zawodowym piłkarzem i podobną karierę wymarzył sobie dla mnie. Ja sam rozważałem przez chwilę zdawanie na prawo. Tyle, że jak znajomi mnie pytali, co mi się podoba w zawodzie prawnika, okazywało się, że to, co mnie najbardziej pociąga to retoryka, krasomówstwo i publiczne wystąpienie. I mówili mi wtedy: „Ty nie chcesz zostać prawnikiem, ty chcesz być aktorem” [śmiech]. Kiedyś nieśmiało zapytałem profesora, który prowadził zajęcia z teatru, co powinienem wybrać. I on odpowiedział mi, że jego zdaniem byłbym kompletnym głupcem, gdybym nie został aktorem, po czym wyszedł, teatralnie trzaskając drzwiami [śmiech]. Dodało mi to odwagi, żeby w końcu odpowiedzieć sobie na pytanie, czego chcę. Profesor był dla mnie takim duchowym ojcem. Mojemu tacie nie udało się pomóc mi w kwestii znalezienia drogi życiowej, ale udało mu się coś innego - odpuścić, porzucić własne ambicje, zrozumieć mnie i wesprzeć.

Jednym z wiodących tematów filmu „Kurier” jest kwestia

wyboru.

W pewnym sensie. Główny bohater dostaje rozkaz, z którym się nie zgadza. Kreuje sobie antytezę i dąży do celu, żeby realizować ten drugi scenariusz. Ta sytuacja pokazuje zresztą, jak skłócona była wtedy władza. Później, kiedy Nowak-Jeziorański spotyka młodych ludzi już uzbrojonych i orientuje się, że powstania nie da się zatrzymać, dochodzi do wniosku, że trzeba się poddać losowi i na spotkaniu z dowódcami AK wypowiada opinię, która tak naprawdę zgadza się z tym pierwszym rozkazem. Ta opinia jest „post-powstańcza”, to znaczy ten dialog nie miał historycznie nigdy miejsca w takiej formie, to już jest powiedziane z perspektywy. Ale merytorycznie wszystko się zgadza.



Kadr z filmu „Kurier”, fot. Bartosz Mrozowski.

To bardzo dojrzała wypowiedź.

Bo jest prorocza. Stanowi odzwierciedlenie tego, co Jan Nowak-Jeziorański napisze w przyszłości. Film tak naprawdę nie broni decyzji o rozpoczęciu powstania, ale pokazuje w jakim duchu została ona podjęta. Bardzo lubię ostatnie ujęcie filmu, kiedy rozpoczyna się powstanie, odwracam się do Partycji Volny i z jakimś żalem pytam: „Idziemy?” I potem wszyscy biegną do światła. Światło oznacza śmierć. I tam nie ma zaskoczenia, bo przecież znamy historię, wiemy, jaki przebieg miało powstanie. Historii nie możemy zmienić, ale możemy ją zrozumieć i wyciągnąć wnioski na przyszłość. Dzisiaj z perspektywy czasu łatwo powiedzieć, że Powstanie Warszawskie było błędem, bo zginęło tysiące ludzi, a Warszawa została kompletnie zniszczona, ale przecież nikt się tego nie spodziewał.

Co według Pana może w tym filmie przemówić do widza zagranicznego?

Film ten ma być przede wszystkim dobrą przygodą, rozrywką, z elementami kina akcji czy kina szpiegowskiego. Wspomniała Pani o Indiana Jonesie. To jest według mnie dobre porównanie, bo w „Kurierze” jest dużo lekkich scen, robionych z dużym poczuciem humoru. Jest też wiele wymyślonych epizodów, jak na przykład wątek związany z agentką Doris.



Kadr z filmu „Kurier”, fot. Bartosz Mrozowski.



Kadr z filmu „Kurier”, fot. Bartosz Mrozowski.

Właśnie jej postać bardzo mi przypominała postać Elsy Schneider z trzeciej części „Indiana Jones”, nawet

fizycznie aktorki są bardzo podobne i rozwój tego wątku jest podobny, chociaż nie zdradzajmy tutaj, jak się rozwinie.

Wątek ten został specjalnie wymyślony, dla urozmaicenia fabuły. Reasumując - jest to kino dynamiczne, a przy okazji widz może nauczyć się czegoś na temat historii Polski. „Kurier” spełnia więc dwie podstawowe funkcje kultury: dostarcza rozrywkę i edukuje.

W następnym filmie z Pana udziałem wcieli się Pan w postać innego sławnego Polaka, matematyka Stanisława Ulama, który między innymi brał udział w tworzeniu broni nuklearnej w USA. Czy może Pan coś powiedzieć już bliższego na temat tego filmu?

Jeszcze nie widziałem końcowej wersji filmu, więc mogę go ocenić jedynie na podstawie tego, co przeżyłem na planie. Ten film ma w sobie ogromny potencjał. Jest to kino artystyczne, autorskie, podobne w konwencji do „Pięknego umysłu”. Wszechobecna w tym filmie bomba wodorowa jest elementem budującym napięcie, zgodnie z powiedzeniem, że bez konfliktu nie ma teatru. To najbardziej potworna broń, jaką człowiek stworzył i to jest przerażające, że jednym przyciśnięciem czerwonego guzika może rozwalić cały świat. A paradoks całej tej sytuacji polega na tym, że od wybuchu bomby atomowej w Hiroszynie i Nagasaki do dzisiaj nie było incydentu z bronią

nuklearną, że dzięki temu utrzymuje się na świecie pokój, bo wiadomo, że użycie broni wodorowej oznaczałoby koniec naszej cywilizacji.

Czy Profesor Ulam miał w związku z tym jakieś rozterki moralne?

Tak, oczywiście. Hiroszima dla twórców bomby była szokiem, nie mogli pogodzić się z tym, że ich wynalazek został wykorzystany w tak okrutny sposób. A potem kazano im wymyślić broń o jeszcze większej mocy. I Ulam stanął przed dylematem, czy dzielić się wynikami swoich badań.



Kadr z filmu o matematyku Stanisławie Ulamie, fot. Jiri Vurma.

Obraca się Pan ciągle w tematach historycznych. Ostatnio zagrał Pan jeszcze - w Teatrze Telewizji - postać Gustawa Herlinga-Grudzińskiego.

Ta sztuka oparta jest na jego powieści o gułagu „Inny świat”. Temat mroczny - brud, głód i przemoc. Ale moje kolejne filmy nie będą już produkcjami historycznymi. Wracam do współczesności.

Włada Pan biegle trzema językami: francuskim, polskim i angielskim...

...jeszcze znam włoski.

Popyt na takich aktorów, jak Pan, powinien być, więc spory.

Znajomość języków daje mi przewagę [śmiech]. Jak nie we Francji, to w Polsce, jak nie w Polsce, to w Szwajcarii. Praca aktora jest nieregularna - czasem człowiek jest bardzo zajęty, a potem następuje długa przerwa. Nie patrzę na to, czy rola jest mała czy duża - chcę, żeby zawsze była dla mnie jakimś wyzwaniem, albo chociaż przyjemnością. Wychodzę z założenia, że jak film jest udany to ludzie pójdą go zobaczyć, a jak nie, to jest on dla mnie dobrym doświadczeniem. Jest jeszcze jedna ważna dla mnie sprawa: ja nie wierzę w talent, wierzę w ciężką pracę. Jak nie pracujesz nad sobą, to nic z tym talentem nie zrobisz. Nigdy nie słyszałem o talencie, który został zniszczony pracą.

Ale talent może mieć różne barwy, nie tylko musi oznaczać umiejętność szybkiego przyswojenie sobie tekstu. Można mieć także na przykład talent do pracy, do analizy czy determinacji. W tym kontekście, w czym leży Pana talent?

Myślę, że jest to właśnie talent do pracy. Bardzo dużo czasu spędzam na uczeniu się tekstu, na przygotowywaniu się do castingu czy jakiejś roli. To jest oczywisty element bycia aktorem, tak jak dla pianisty spędzanie dziesięciu godzin dziennie na ćwiczeniu. Ja to uwielbiam.

A ćwiczenie też może być pracą twórczą?

Na tym to polega. Występ jest jedynie końcowym rezultatem tej wielogodzinnej, twórczej pracy. Przy moim zawodzie istotne też jest spotkanie właściwych osób we właściwym momencie i wdzięczność za to, że ktoś dał Ci szansę. Całe moje działanie opiera się na wierze w pracę i w to, że będzie dobrze. Jak miałem okres posuchy, nadzieja była dla mnie bardzo ważna. Propozycja roli zawsze się w końcu pojawia.



„Kurier” w reż. Władysława Pasikowskiego, obsada: Philippe Tłokiński, Julie Engelbrecht, Patrycja Volny, Jan Frycz, Rafał Królikowski, Cezary Pazura, Adam Woronowicz.

Film będzie pokazywany podczas Festiwalu Polskich Filmów w Austin oraz Festiwalu Polskich Filmów w Miami na Florydzie:

<https://www.austinpolsishfilm.com/>

<https://www.pffmiami.com/>

Przyjaźń

Florian Śmieja



Wilno 1936, pod Ostra Brama. Florian Śmieja w pumpach w pierwszym rzędzie. Przewodniczka Zofia Bohdanowiczowa. Z tyłu samotny Piotr Guzy. fot. arch. F. Śmieji.

Z powieściopisarzem Piotrem Guzym spotkałem się we wrześniu 2005 roku w Toronto. Przed wojną chodziliśmy wprawdzie do tego samego gimnazjum w Tarnowskich Górach, a nawet obaj widniejemy na fotografii pod Ostrą Bramą w Wilnie zrobionej w czasie wycieczki w 1936 roku, ale wtedy nie znaliśmy się. Różnica trzech lat była nieprzekraczalną barierą.

Kilka lat temu dowiedziałem się, że Guzy mieszka samotnie na emeryturze w Hiszpanii. Nawiązałem z nim kontakt i od tego czasu korespondowaliśmy z esobą.

Na emigracji wydał głośną, nagrodzoną przez "Kulturę" powieść "Krótki żywot bohatera pozytywnego" demaskujący działalność służb bezpieczeństwa w PR-u. Potem pracował nad dużą sagą rodową umiejscowioną na Śląsku.

Guzy był unikatem. W Polsce pod kuratelą Kazimierza Koźniewskiego napisał propagandową książkę, poczem uszedł z rodziną do Anglii. Odtąd żałował i nie mógł sobie darować, że napisał paskudną książkę. Pokażcie mi drugiego takiego naszego literata, który się wstydzi swego dorobku z czasów dyktatu komunistów w literaturze? Chyba nie ma. Spokojnie przeszli na inną pozycję, często nawet nie opuścili intratnego świecznika. Życiowi ludzie.



Jan Nowak-Jeziorański w Radio Wolna Europa, fot. Wikimedia/domena publiczna

Różne miałem sprawy z Janem Nowakiem Jeziorańskim. Chciał mnie zwerbować do radia, kiedy go odwiedziłem w Monachium, ale przyznał, że powinienem pilnować kariery akademickiej, jeżeli stanie się aktualna.

Kiedy można było swobodnie jeździć do wolnej Polski oświadczył, że nie będzie jeździł na różne tam Hawaje i Bahamy, ale do Polski. I w tym się z nim zgodziłem. Spotkałem go potem we Wrocławiu.

Latał do kraju, bo wiedział, jako doświadczony emigrant, że tylko tam znajdzie przyjaźnie najbardziej osobiste wychodzące poza zdawkowe kontakty i rozmowy, przyjaźnie głębsze, oparte na wspólnocie zainteresowań, o które gdzie indziej niełatwo, bo są

rzadkie nawet w sprzyjających warunkach i materialnym otoczeniu. Posiadanie bratniej duszy to wygrana na loterii, to kosztowanie pełni życia, to wychodzenie poza ciasne, samolubne ramki, aby żyć żarliwiej. Największym brakiem na emigracji jest brak bliskich ludzi, którzy są bardziej potrzebni w życiu niż dobrobyt i kariera, bo są rękojimą zdrowia. Ich strata jest nieszczęściem. Kto stracił druha i nieodstępного towarzysza stał się kaleką.

Korespondencja Brzezińskiego i Nowaka

Aleksandra Ziółkowska-Boehm

Autorzy listów Jan Nowak-Jeziorański i Zbigniew Brzeziński to dwie polskie ikony ludzi polityki. Pokazana

korespondencja jest czysto służbowa, uważna, skupiona na sprawach Polski i wokół niej.

Wielka troska o Polskę ujmuje i zjednuje czytelnika. Nie ma w tych listach fragmentów osobistych, prywatnych, są od czasu do czasu przekazywane pozdrowienia współmałżonkom. Jest zaproszenie od Nowaka na wakacje zimowe w domku w Alpach austriackich, na które Brzeziński zareagował entuzjastycznie. Dłuższe są wypowiedzi Nowaka, ogólnie jednak swoista powściągliwość tej korespondencji jest zrozumiała i jakby oczekiwana.

Archiwa Jana Nowaka-Jeziorańskiego za jego życia znalazły się w Zakładzie Narodowym im. Ossolińskich (przewoziła je Dobrosława Platt), zaś Zbigniew Brzeziński w 2003 roku, i kolejno w latach 2005-2009 swoje archiwa zdeponował w Bibliotece Kongresowej w Waszyngtonie.

Zarówno z Janem Nowakiem (1914-2005, urodzonym i zmarłym w Warszawie), jak i ze Zbigniewem Brzezińskim (1928-2017, urodzonym w Warszawie, zmarłym w Falls Church w USA) w 1991 roku przeprowadziłam wywiady do książki „Korzenie są polskie”. Wcześniej, w 1982 roku, do książki „Dreams and Reality/ Kanada, Kanada” rozmawiałam w Montrealu z ojcem Zbigniewa. Tadeusz Brzeziński (herbu Trąby, syn Kazimierza - z zawodu sędziego) był jedną z najznakomitszych postaci Polonii

kanadyjskiej. Urodzony w Złoczowie w 1896 roku, ukończył gimnazjum klasyczne w Przemyślu, studiował na uniwersytetach w Wiedniu, Hadze i we Lwowie. W latach 1918-1921 służył w wojsku polskim, brał udział w wojnie polsko-bolszewickiej. W 1921 rozpoczął służbę zagraniczną na placówkach konsularnych w Westfalii i Nadrenii, północnej Francji, Saksonii i Turyngii, na Ukrainie i w Kanadzie. Ostatnią placówką dyplomatyczną była Kanada, gdzie oficjalnie objął urząd konsula 1 listopada 1938 roku i był nim do lipca 1945, kiedy rząd Kanady cofnął uznanie dla rządu polskiego w Londynie. Od 1952 roku dziesięć lat pełnił funkcję prezesa Kongresu Polonii Kanadyjskiej. Był pierwszym Kanadyjczykiem polskiego pochodzenia w Montrealu, który w 1954 roku kandydował do Izby Gmin. Czynnie włączony był m.in. w powrót arrasów wawelskich i rękopisów Chopina do Polski, apelował do społeczności polonijnej o pomoc w odbudowie Zamku Królewskiego w Warszawie.

Pisząc o ojcu, przypominę, że po matce, Leonii Brzezińskiej z domu Roman, Zbigniew był kuzynem Andrzeja Romana, znanego dziennikarza warszawskiego (syna brata Leonii, Tadeusza). Leonia Brzezińska (primo voto Żylińska) była córką Leona Romana (herbu Ślepowron).

Gdy Tadeusz Brzeziński objął urząd konsula w Montrealu, jego wtedy 10-letni syn Zbigniew był patriotycznie nastawionym chłopcem, jak sam powiedział, nadzwyczaj dumnym ze swego

kraju. Kiedy w rok po przyjeździe z rodziną do Kanady wybuchła w Europie wojna, obserwował rozwój wydarzeń z ogromną uwagą, czytał dzienne depesze Polskiej Agencji Telegraficznej, które ojciec przynosił do domu ze swego biura. Powiedział kilku przyjaciołom, że chciałby pewnego dnia zostać prezydentem Polski. Zapamiętał zakończenie wojny. Uczniów wzięto ze szkół i maszerowali wzdłuż głównej ulicy w Montrealu. Wszyscy powiewali flagami, głównie amerykańskimi, brytyjskimi i sowieckimi. Pamięta, że w tej euforycznej radości czuł przede wszystkim smutek. Wiedział, że Polska była okupowana. Po studiach w Kanadzie zamierzał kontynuować studia w Wielkiej Brytanii, po których wróciłby do Kanady i starał się zrobić karierę jako dyplomata. Jednak w ostatniej chwili okazało się, że nie mając obywatelstwa kanadyjskiego, nie mógł skorzystać z uzyskanego stypendium. W rezultacie zdecydował się studiować w USA na Harvardzie. Otworzyły się przed nim wspaniałe możliwości, jakie oferowała ta uczelnia i w ogóle Stany Zjednoczone.

Jego żona Muszka, pochodzenia czeskiego (z domu Beneš), jest rzeźbiarką. Synowie są włączeni w świat dyplomacji (Marek od 2011 roku był ambasadorem w Szwecji), córka Mika Brzezinski jest dziennikarką, współprowadzi program telewizyjny stacji MSNBC Morning Joe. Jak stwierdził Jan Nowak-Jeziorański, Zbigniew Brzeziński, imponujący swoją niezwykle błyskotliwą inteligencją i darem wypowiedzi, był świetnym przykładem

polskiego wybitnego intelektualisty i męża stanu.



Korespondencja Nowaka i Brzezińskiego obejmuje ponad 44 lata,

a jej autorzy ogólnie zgadzają się w wielu sprawach. Obydwaj wiedzą np., jak ważną sprawą dla Polski było uznanie granicy na Odrze i Nysie. W 1964 roku Nowak pisze:

Jedyną realną drogą do poprawienia losu Polski jest stopniowa ewolucja systemu i erozja doktryny. Jedno i drugie może odbywać się tylko w warunkach określonych przez Ciebie jako „*peaceful engagement*”.

Interesujący jest fragment listu Nowaka z 18 lipca 1968 roku, w którym pisze:

Wcisnąłem do ręki Griffitha (uważanego za eksperta od komunizmu - przyp. AZB) naprędce podyktowaną notatkę, której kopię załączam. Zdaje mi się, że wybiłem mu raz na zawsze z głowy „Polish traditional anti-semitism” oraz „Poland’s lack of democratic tradition”.

Na co Brzeziński odpowiada:

Uważam, że Twoja notatka dla Griffitha była majstersztykiem i wzorem świadomości historycznej!

Nowak czyta artykuły i książki Brzezińskiego, omawia je na antenie. Cieszy się wszystkimi wyróżnieniami i honorami pana Zbigniewa, pisząc:

Każdy Twój sukces jest dla mnie źródłem szczerzej i prawdziwej satysfakcji.

Jednocześnie martwi się atakami na Brzezińskiego i krytykowaniem go:

Jest rzeczą zdumiewającą, że żaden zachodni polityk nie jest w tej chwili atakowany w prasie komunistycznej w Polsce z taką zajadłością, jak Ty.

W listach Nowaka raz po raz pojawia się też troska o istnienie Radia Wolna Europa (przeciwnikiem jego istnienia był np. senator James William Fulbright), na którą Brzeziński reaguje zawsze skutecznie. Obaj korespondenci od czasu do czasu polecają sobie osoby mające problem np. z amerykańską wizą wjazdową (m.in. Zygmunta Grossa). Brzeziński wykazuje zainteresowanie historią Polski, konkretnymi osobami, jak generał „Nil”.

W jednym z wywiadów Jan Nowak-Jeziorański podkreślił:

Stany Zjednoczone pozwoliły mi przez wiele lat służyć mojemu krajowi na stanowisku kierownika Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa. Żadne inne mocarstwo nie zdobyło się na to, by zaofiarować ujarzmionym przez Stalina narodom radiostację nadającą od świtu do nocy, gdzie Polacy mieli pełną autonomię, możliwość mówienia o sprawach polskich z własnego, polskiego punktu widzenia. Polityka Stanów Zjednoczonych odegrała dużą rolę w procesie przemian w Polsce i w całym tym rejonie. Szczególnie mam tu na myśli tzw. politykę bata i marchewki, czyli z jednej strony sankcje, a z drugiej - perspektywy kredytów politycznie i ekonomicznie uwarunkowanych. Miało to dość znaczny wpływ na wydarzenia w Polsce po roku 1981. Bez tego zaangażowania Stanów Zjednoczonych w sprawy polskie prawdopodobnie wydarzenia po roku 1981 miałyby zupełnie inny przebieg. Jako dyrektor RWE miałem wielokrotnie ostre konflikty z moimi amerykańskimi partnerami, ale uprzytomniły mi, że z Amerykanami można prowadzić spór zachowując niezależność własnego stanowiska. Bo nigdy, nawet w chwilach, które bliskie były konfrontacji, nie usiłowano pozbyć się mnie dlatego, że reprezentowałem inny punkt widzenia i starałem się bronić polskich interesów.

Zastanawiające są fragmenty dotyczące Jerzego Giedroycia i paryskiej „Kultury”. Nowak pisał w 1968 roku:

Mam wiele szczerego podziwu dla Giedroycia i jego miesięcznika. Wydawanie na emigracji przez blisko ćwierć wieku pisma, utrzymywanego na tak wysokim poziomie, ogłoszenie w tym czasie kilkuset książek, jest osiągnięciem zasługującym na najwyższy szacunek. Toteż usiłuję utrzymać z Giedroyciem możliwie najlepszą współpracę i stosunki, co nie zawsze jest łatwe. Ponieważ miesięcznik z trudem obecnie dociera do Polski - nadajemy specjalne audycje poświęcone obszernym streszczeniom i wyciągom z każdego numeru „Kultury”. Nie mówiąc już o rozgłosie, jaki staramy się nadać każdej nowej pozycji wydawniczej Instytutu Kultury.

Cztery lata później, w 1972 roku, napisze zupełnie inaczej:

Załączam fragmenty wyjątkowo perfidnego artykułu Mieroszewskiego w „Kulturze” z okazji naszego 20-lecia oraz naszą odpowiedź w Na antenie. Przez wiele lat starałem się nie odpowiadać na ataki i złośliwości Giedroycia. Artykuł Mieroszewskiego, złośliwy w treści, a szkodliwy w intencjach, doprowadził nas do ostateczności i desperacji.

Przypuszczam, że jesteś dobrze poinformowany, w jaki sposób i przez kogo finansowana jest „Kultura”. Nieustanne kwestionowanie polskości i patriotyzmu naszego zespołu, dlatego że radio finansowane jest przez Amerykanów, jest w tym kontekście rzeczą absolutnie niemoralną.

Wyjaśnię na temat konfliktu z Giedroyciem, o którym pisze Nowak, udzielił mi Marek Walicki, pracownik Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa i sekcji polskiej Głosu Ameryki. Od 1973 – po likwidacji nowojorskiego oddziału Rozgłośni Polskiej RWE – jedyny korespondent nowojorski:

Prawda jest taka, że Komitet Wolnej Europy (KWE) był finansowy w znacznej mierze przez CIA, i „Kultura” czerpała fundusze z tego samego źródła co Radio Free Europe (a więc i ówczesny Głos Wolnej Polski). Nowak był nieformalnym opiniodawcą wniosków Giedroycia (sic!) o pomoc z Komitetu Wolnej Europy, i kopie tej tajnej korespondencji Giedroycia z Amerykanami Nowak zachował. Wiadomo na przykład, że Giedroyc osobiście otrzymywał od KWE 300 dol. miesięcznie, podczas gdy Nowak jako dyrektor otrzymywał (w pierwszym roku działalności radia) 310 dol. miesięcznie. Dotacja (KWE – a więc w drodze dedukcji: CIA) na działalność wydawniczą „Kultury” w latach 50. wynosiła rocznie 75 tys. dol., czyli niewiele mniej niż budżet ponad stuosobowego zespołu

polskiego Wolnej Europy! Osobiście sędzę, że choć fundusze pochodziły z tego samego źródła, Giedroyć miał większą niezależność jako redaktor miesięcznika niż Nowak, który kierował radiem i nie krył, bo ukryć by się i tak nie dało, że radiostacja stworzona została i jest finansowana „przez Amerykanów”.

Z rekomendacji Brzezińskiego w 2000 roku uhonorowano Jana Nowaka-Jeziorańskiego Prezydenckim Medalem Wolności, najwyższym odznaczeniem cywilnym Stanów Zjednoczonych Ameryki nadawanym przez prezydenta. Jak pisze Brzeziński, on sam został odznaczony tym medalem w roku 1981, i wcześniej żaden Amerykanin polskiego pochodzenia go nie otrzymał. Można powiedzieć, że Prezydencki Medal Wolności nadał specjalne znaczenie ich przyjaźni.

Warto dodać, że Dobrosława Platt, autorka interesującego wstępu do tej korespondencji, wcześniej opracowała „Listy Jan Nowak, Jerzy Giedroyć 1952-1998” (Wrocław 2001) i dwujęzyczną monografię Jana Nowaka-Jeziorańskiego ze wstępem ambasadora Jerzego Koźmińskiego „Polska droga do NATO. Listy, dokumentacje, publikacje” (Wrocław 2006).

Jan Nowak-Jeziorański i Zbigniew Brzeziński. Listy 1959-2003, PWN, Warszawa 2014 Wybór, wstęp,

opracowanie Dobrosława Platt.

*Tekst ukazał się [w:] Nowy Dziennik, Przegląd Polski, Nowy Jork,
24 listopada 2015*

Uraza



W Radio Wolna Europa w Monachium. Od lewej: Piotr Guzy, Sławomir Mrożek, Tadeusz Nowakowski, Jan Jasiewicz, fot. arch. P. Guzego

Piotr Guzy

Pod koniec lata 1969 roku praca nad nową powieścią, którą miał być „Stan wyjątkowy”, była dobrze zaawansowana, byłem z niej zadowolony i miałem pewność, że Giedroyc będzie chciał ją wydać. I wtedy w moim życiu zjawił się dyrektor Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa w Monachium, pan Jan Nowak. Napisał do mnie? Zadzwoił? Z pamięci mi to już wyleciało. W każdym razie zaproponował mi spotkanie w hotelu w Londynie.

Pojechałem.

Był nadzwyczaj miły dla mnie, czarujący. Czytał mój „Krótki żywot bohatera pozytywnego”, który mu się nad wyraz podobał. Nie dziwił się, że dostałem za niego nagrodę „Kultury”, podkreślił też, że radio nadało bardzo pochlebny recenzję „Krótkiego żywota” pióra Gustawa Herlinga -Grudzińskiego, którą wydrukują w wydawanym przez rozgłośnie piśmie „Na antenie”. Powiedziałem, że mi to bardzo schlebia i będę bardzo wdzięczny.

Wtedy zaproponował mi przejście z BBC do Radia w Monachium. Bardzo mu na tym zależało. Wyraził przypuszczenie, że bardzo dobrze by mi się tam pracowało, bo w zespole mają już kilku pisarzy i poetów, tu wymienił Tadeusza Nowakowskiego i z poetów Bronisława Przyłuskiego, więc nie czułbym się osamotniony. Nie podał ile bym tam zarabiał. Ja zaś też nie pytałem. To była stacja amerykańska, więc zarobki też były amerykańskie, nieporównywalne z tym, co w równorzędnej pracy zarabiał się w Europie.

Podziękowałem mu za zaproponowanie mi pracy w Monachium, ale zastrzegłem się, że z tym trzeba będzie trochę poczekać. Obliczyłem, że sfinalizowanie pracy nad nową powieścią zajmie mi jakieś dwa, trzy miesiące, chociaż nic pewnego nie mógłbym powiedzieć, niepewność, tak było zawsze ze mną, przy pisaniu

nigdy mnie nie opuszczała, w każdym razie mógłbym się przenieść do Monachium dopiero gdzieś w początkach, w pierwszym kwartale przyszłego roku. Zaproponowałem więc, że jak będę miał definitywną decyzję Giedroycia, że mi książkę opublikuje, to mu, znaczy Nowakowi, dam znać i jeśli jego propozycja pracy w polskiej rozgłośni będzie nadal aktualna, to wystąpię w BBC z wypowiedzeniem. I na tym między nami stanęło.

Mnie się w BBC dobrze pracowało, praca nie tylko nie była uciążliwa, ale była ponad to interesująca, byliśmy zawsze *au courant* tego, co się aktualnie działo w Polsce. Praca była dobra, z coroczną podwyżką, była pewność dobrej emerytury, mogłem więc tam zostać, miałem przyszłość zapewnioną. Ale prawdę mówiąc, mnie ciągnęło na kontynent, szczególnie chciałem zobaczyć i doświadczyć z bliska powojenne, okrojone na wschodzie, Niemcy. Może nawet podświadomie zarysowywało się we mnie coś, co mogło ewentualnie przerodzić się w krótszy lub dłuższy utwór literacki, bo kończąc „Stan wyjątkowy” byłbym wewnętrznie otwarty na wszystko, co mogło mi przynieść życie. A przyniosło, bo po kilkunastu latach miałem napisać dłuższe opowiadanie, „Biedna Lilo”, którego akcja toczy się w Monachium, w moim własnym mieszkaniu na pierwszym piętrze Elisabethstrasse 24, na tak zwanym Schwabingu.

Posłałem maszynopis „Stanu wyjątkowego” do Maisons-Laffitte,

Giedroyciowi książka się podobała, będzie ją drukować. Wobec tego napisałem do Nowaka, że z nowym rokiem jestem gotowy przenieść się do Monachium.

I tu spotkała mnie przykra niespodzianka. W odpowiedzi napisał mi, że owszem, oferta nadal stoi, ale trudno mu w tej chwili powiedzieć, kiedy ją będzie można urzeczywistnić. Sprawa rozbija się o pieniądze. Wypełnianie wakatów etatami tylko częściowo leży w jego rękach, ostateczne decyzje zapadają w administracji amerykańskiej. Budżet na sfinansowanie dużej instytucji, jaką jest monachijskie radio, jest corocznie uchwalany i zatwierdzany przez Kongres. Tak więc z roku na rok nic nie jest ustalone na fest, corocznie więc trwają w Waszyngtonie targi między różnymi departamentami administracji amerykańskiej. Na koniec jednak dodał, że oczywiście jak tylko sytuacja się ustabilizuje, to ponowi swoją ofertę.

Napisałem mu z podziękowaniem, że zechciał mnie poinformować jak się sprawa ma i zapewniłem go, że oczywiście jak tylko perspektywa się wyklaruje, to w każdej chwili będę gotowy przyjąć jego ofertę.

Niecały miesiąc później przyszła z amerykańskiej administracji radia w Monachium, oficjalna oferta przyjęcia mnie w skład polskiego działu rozgłośni. Nie będę wchodził szczegółowo w biurokratyczne postępowanie, w każdym razie w początkach

nowego roku byliśmy z żoną zainstalowani w wygodnym trzypokojowym mieszkaniu przy wspomnianej już Elisabethstrasse 24 na tak zwanym Schwabingu. I tak któregoś dnia siedziałem w gabinecie dyrektora radia pana Nowaka w budynku Radia w tzw. Parku Angielskim (*Englischer Garten*) w Monachium i słuchałem jego pochwał pod adresem mojego pisarstwa, jeśli zaś chodzi o konkretną dla mnie pracę, zaproponował mi redagowanie dziennika radiowego, na co chętnie przystałem.

Tu muszę się cofnąć o dwadzieścia kilka lat do tak zwanej, i nigdy do końca oficjalnie nie wyjaśnionej, sprawy niejakiego Henryka Rozpędowskiego, która swego czasu dogłębnie wstrząsnęła polską załogą rozgłośni. W czasie wojny Henryk Rozpędowski działał w partyzantce na rozległych obszarach dawnych kresów wschodnich Rzeczypospolitej. Kiedy przez te rejony przewalił się front Armii Czerwonej, nowe władze zarzuciły olbrzymią sieć i wyłowiły tysiące partyzanckich bojowników, nie bacząc na razie na ich polityczną przynależność. Henryk R., który miał za sobą niecałe cztery klasy przedwojennego gimnazjum, bardzo prędko znalazł dla siebie miejsce w organizowanym przez władze życiu kulturalno-społecznym obozu. Został kierownikiem teatru. Teksty proponowanych do wystawienia sztuk przechodziły przez

cenzurę przy sztabie obozu. Nie trwało to jednak długo, Henryk R. sam potrafił w podsuwanych mu tekstach znajdować ideologiczne niedociągnięcia i nie musiał już przedstawiać swoich sztuk do postronnej oceny. Zaufano mu.

Do obozu zjechała wysoka delegacja partyjna. Pięciu ich było, wszyscy w długich skórzanych, czarnych płaszczach. Jeden z nich, dość wysoki osobnik o ciemnej, zniszczonej twarzy, mówił długo o przewadze ustroju socjalistycznego nad ustrojem kapitalistycznym, kiedy to wreszcie będziemy mieli w Polsce sprawiedliwość społeczną i tak dalej. Na koniec przedmówca zwrócił się do zebranych, czy chciałby ktoś postawić jakieś pytanie, albo uzupełnić jego własne przemówienie.

Henryk Rozpędowski wystąpił przed szereg.

- Chcieliście coś powiedzieć?

- Tak.

- A jak wy się nazywacie?

Powiedział swoje nazwisko i imię.

- Macie jakieś zapytanie?

- Tak

- Mówcie więc, mówcie śmiało, nie bójcie się.

- Wy, towarzysze, dużo mówicie o sprawiedliwości, ale sami nie potraficie zaprowadzić sprawiedliwości tu, w naszym obozie.

- Potraficie dać jakieś konkrety?

- Tak. Chodzi o kuchnię. Jak jest zupa to jedni dostają z oczkiem tłuszczu, a inni muszą się obejść samą wodą. To nie jest sprawiedliwość.

Ten, który przemawiał, nie odrywał oczu od ochotnika, wpatrywał się w niego z przemożną siłą swego autorytetu. Wreszcie zapytał:

- A wy wiecie jak ja się nazywam?

- Nie wiem, towarzyszu.

- Jestem towarzysz Fejgin. Zapamiętajcie sobie dobrze to nazwisko. Towarzysz Fejgin.

Miesiąc później Henryka Rozpędowskiego odesłano do Moskwy.

Poznałem go kilka lat później. Już jakoś zahaczyłem się o uprawianie literatury, byłem członkiem Koła Młodych przy Związku Literatów Polskich w Poznaniu. Henryk Rozpędowski zajmował się wychowaniem młodych pisarzy w duchu marksizmu i leninizmu. Straszna nuda. Starał się rozniecić dyskusje, zadawać pytania, jednak rzadko ktoś z czymś występował. Już nie pamiętam z czym wyskoczyłem jednego razu, albo inaczej, z czym się odważyłem wyskoczyć. W każdym razie nie było to po jego myśli. Po skończeniu zebrania, gdy jego uczestnicy już się rozchodzili, towarzysz Henryk Rozpędowski podszedł do mnie i chwyciwszy mnie za guzik od koszuli, głosem, który mógł przywołać na myśl Łubiankę i niezmierzone obszary Gułagu, powiedział:

- TY uważaj na siebie, bo TY wiesz, co MY z takimi jak TY, robimy.

Nie zrobiło to na mnie pożądanego wrażenia. To już był okres Gomółki, pewnego ideologicznego rozprężenia, a myśmy już wiedzieli, że jego patron w czarnym skórzanym płaszczu, towarzysz Fejgin, był już aresztowany, albo miał być aresztowany, różnie mówiono. W każdym razie było wiadomo, że Henryk Rozpędowski był kapitanem czy majorem tak zwanej Informacji Wojskowej, którą to organizację po uzyskaniu przez

Polskę wolności uznano za organizację zbrodniczą. Towarzysowi Henrykowi Rozpędowskiemu udało się wydostać z gmatwaniny międzypartyjnych porachunków. Przypomniano sobie, że kiedyś z powodzeniem prowadził teatrzyk w obozie, więc go skierowano bodajże do Gniezna, gdzie został kierownikiem literackim miejscowego teatru. Ale, że tam już trochę zanadto śmierdział bezpieką, więc długo tam nie posiedział, postarał się więc o to, żeby go skierowano do Poznania. Tam miał zamieszkać w domu Związku Literatów Polskich, gdzie akurat zwolnił się jeden pokój, z którego wysiudano niepokornego, ideologicznie wierzgającego poetę, Wojciecha Bąka. Sprawa była skomplikowana, mało co o niej wiedziałem, samego zaś Bąka nigdy na oczy nie widziałem. A zatem towarzysz Henryk Rozpędowski, zainstalowany teraz w swym mieszkaniu na piętrze, wziął się energicznie do pracy na niwie poprawnej ideologii wśród młodych poznańskich literatów. Nie chodziłem na jego wykłady, nie obchodziło mnie to.

Wkrótce po przewrocie gomółkowskim - w tym czasie też wyszła „Odwilż” Ilii Ehrenburga, która przyniosła z sobą wcale nie tak małe znowu trzęsienie ziemi wśród pisarzy i ludzi kultury tak zwanego „obozu socjalistycznego” - kilku młodych literatów poznańskich uzyskało od władz partyjnych zezwolenie na powstanie i prowadzenie tygodnika społeczno-kulturalnego pod nazwą „Tygodnik zachodni”, w którym ja prowadziłem dział zachodni. W Szczecinie wybuchła afera sensacyjna, chodziło o zohydzenie jakiegoś zakonu kobiecego. Poleciałem tam. Jednego

dnia po południu znalazłem się w jakimś obcym mieszkaniu, bardzo możliwe, że byłem już trochę w stanie wskazującym, kupa ludzi tam była. Nagle zobaczyłem siedzącego w fotelu towarzysza Henryka Rozpędowskiego, ale jakoś był inny, jakby w jego wewnętrznej postaci zaszła jakaś zmiana. Kolega, z którym akurat byłem, powiedział: - Chodź, przedstawię ci go. - Powiedziałem, że nie trzeba, ja faceta znam. Wtedy kolega: - Jutro z żoną wyjeżdżają do Izraela, to jest ich pożegnalne spotkanie. - We mnie jakby uderzył piorun, podszedłem bliżej, powiedziałem: - Nie rozumiem, jak to ty? - Na to towarzysz Henryk Rozpędowski, człowiek z polską krwią na rękach, powiada: - Przecież w tym kraju nie da się żyć.

Rozmowa z Nowakiem dobiegła końca, łatwo się z nim rozmawiało, ale mimo tej lekkości wyczuwało się, dla mnie to było to jasne, że on mnie taksuje, drąży, a ja farby nie puszczałem, i do końca mojej pracy w rozgłośni nigdy nie doszło między nami do najmniejszego zbliżenia. Do końca byłem dla niego enigma. A z czasem widziało się gorszące sceny, to płaszczenie się przed nim, to schlebianie mu, a jak przyszły jego imieniny, to żeby mu złożyć życzenia, do jego otwartego na oścież gabinetu formowała się dziesięciometrowa kolejka, i często nie podchodzono do niego z pustymi rękami. Znany był jeden przypadek, gdzie starszawe małżeństwo ofiarowało mu

zestaw jakiejś kosztownej porcelany i Nowak odmówił przyjęcia.

W ciągu wszystkich lat mojej pracy w rozgłośni jeden raz zjawiałem się na jego imieninach, był potężnie zaskoczony. A poszedłem bo chciałem wiedzieć, chciałem zobaczyć na własne oczy jak to monarsze składanie hołdu wygląda. Byłem zde gustowany i powiedziałem sobie, już nigdy więcej. Wstyd mi było za moich bądź co bądź kolegów, z którymi miałem codziennie do czynienia. Ale to wszystko odkryłem dopiero z biegiem czasu. I stopniowo.

Nowak wstał, ja wstałem, odprowadził mnie do drzwi i wtedy, to trzeba sobie wyobrazić, gdy dotknąłem stopą korytarza, znalazłem się w silnych i rozhisteryzowanych objęciach Henryka Rozpędowskiego. On się trząsał, dygotał, niewątpliwie jednym okiem skierowanym na otwarte drzwi, w których stał Nowak i patrzył na ten nad wyraz nieprzyzwoity spektakl. W pobliżu zatrzymało się kilka osób, zapewne z niedowierzaniem w oczach. Wreszcie Nowak się odezwał:

- To panowie się znacie?

Henryk Rozpędowski zdjął ze mnie swe ręce, tylko lewą ręką nadal trzymał mnie za łokieć:

- Ależ tak, już od wielu lat. Zawsze byliśmy bardzo blisko.

- No to cieszę się - to skierowane do mnie - że w pierwszym dniu pobytu w tym gmachu odnalazł pan starego przyjaciela. Mam nadzieję, że obu panom będzie się dobrze ze sobą pracowało. - I z tym, z plecami do wnętrza, wycofał się do swego gabinetu. Ja zaś zrzuciwszy z łokcia nieprzyjemną mi rękę poszedłem w głąb korytarza, skąd miałem wejście do redakcji dziennika. Henryk Rozpędowski mnie nie odstępował i gadał, gadał, że mi pomoże zorientować się kto tu jest kim, bo tu trzeba wiedzieć z kim można, z kim zaś nie, tak jakby solidną część zespołu stanowili kapusie, którzy z byle powodem lecieli do Nowaka. Nie odezwałem się do niego ani jednym słowem. Ale nie było dnia, żeby mnie nie łapał na korytarzu, czy na dole w kantynie, nie wiem, o co mu chodziło.

A ja zastanawiałem się potem, czym były podyktowane Nowakowe życzenia dobrej współpracy, czy była w nich kpina, cynizm, bo wiedząc, że przez kilka lat mieszkałem w Poznaniu, nie mogłem nie wiedzieć jaki tam „sprawował rząd dusz”, zatruwając umysły młodych pisarzy doktryną leninowsko-stalinowską. Zawsze byłem samotnie chodzącym kotem, tak więc i tutaj nie miałem zamiaru trybu mojego życia odmienić. A życie towarzyskie wśród pracowników rozgłośni kwitło w najlepsze. To było swego rodzaju getto, zakisłe w sobie. Ja i żona nie mieliśmy zamiaru kisić się w tym sosie, tak że z biegiem czasu, nie obrażając nikogo, odmawialiśmy zaproszenia. Przestano nas zapraszać.



Jan Nowak-Jeziorański w 1957 r., fot. ze zbiorów Narodowego

Następne spotkanie z Nowakiem nastąpiło jakieś dwa, trzy tygodnie później. Z jego inicjatywy. Zadzwoił ze swego biura, czy mógłbym na chwilę przyjść. Robotę w redakcji przejął kolega. Poszedłem. Nowak był uroczy, jak on to zawsze potrafił, z przyjaznym uśmiechem na twarzy wskazał na krzesło, żebym usiadł. Pochwalił mnie, że szybko i, jak mu się wydaje, łatwo wdrożyłem się w redakcyjny tok pracy. Wyraził nadzieję, że tok pracy, jej gorączkowość, nie wpływają niekorzystnie na moją własną pracę literacką. Zapewniłem go, że praca w radio w żaden sposób mi nie szkodzi, a rozkład dyżurów daje mi dużo wolnego czasu.

Lekko skinął głową: - To mnie cieszy.

Tu nastąpiła dłuższa przerwa, Nowak bezmyślnie przesuwiał papiery na biurku, było to jakby nagłe, był zbity z tropu, jakby sytuacja wymknęła mu się z ręki i nie wiedział jeszcze, jak naprowadzić ją na podległe mu tory. A ja już się domyślałem, więcej, byłem pewny, że wiem, z czym wystąpi.

Wreszcie jakby się uspokoił i z cieniem uśmiechu na twarzy zapytał: - No, a jak się rozwijają pana stosunki z kolegą Rozpędowskim?

Dziwnie sformułowane pytanie, „pana stosunki”. Chyba się domyślał, że już mi było wiadomo z czym, szereg lat temu, ze strony całego zespołu spotkało się przyjęcie tego człowieka do pracy w rozgłośni. Powstały wtedy bunt moralnego sprzeciwu jemu przecież przyszło uśmierzać. Czy robił to uczciwie, nie zgnębiając własnego sumienia? Wchodzę tutaj na bardzo niepewny, powiedziałbym nawet zdradliwy grunt.

Szok jakiego doznałem szereg lat temu, kiedy spotkałem Rozpędowskiego w Szczecinie w przeddzień jego wyjazdu z kraju, miał u swego podłoża dwie przesłanki. Miałem przed sobą byłego oficera Informacji Wojskowej, zbrodniczej organizacji, jaką nowi, przybyli z Moskwy władcy, powołali do życia w celu, nie przebierając w środkach, uśmierzenia przeciwnego im narodu i zbudowania mocnego i trwałego gruntu pod nowy, już w swoich początkach znienawidzony system. I ten człowiek, który ma ręce ubrudzone krwią, który utrzymywał ten system, który mi osobiście groził, że mnie unicestwi, teraz mówi mi, że przecież „w tym kraju nie da się żyć”. Druga przesłanka wspomnianego szoku zasadzała się w słowie „Izrael”, że jedzie, przenosi się z rodziną do Izraela, czyli jest Żydem. Dotąd nie myślałem o nim, że, jak się mówiło przed wojną, jest mojżeszowego wyznania. Dla mnie to było nieistotne. Pozostawała jednak kwestia: dlaczego emigruje? Poczł się zagrożony? Tu można by spekulować na

różne sposoby. Może wyjeżdżał z zadaniem do wykonania? Tak myślę teraz, gdy to piszę, a mamy już 2016 rok, wtedy tego rodzaju podejrzenie nie przyszło mi do głowy.

Nowak zadał mi pytanie, musiałem na nie odpowiedzieć. Ale jak? Dla mnie fakt pracy Rozpędowskiego w radio był zbyt rażący, żeby przed odpowiedzią schować się w jakieś grzecznościowe ogólniki, nigdy bym sobie takiego tchórzostwa nie wybaczył, pozostałaby jątrząca smuga na moim życiu do jego końca. Powiedziałem:

- Będę z panem szczery. Na pana pytanie mógłbym odpowiedzieć ogólnikowo, tyle żeby grzeczności stało się zadość, ale wątpię czy to by Pana zadowoliło. Mnie na pewno też nie. Opowiem panu o czymś, co mnie się kiedyś wydarzyło. - Ktokolwiek będzie czytał od początku te moje „wspominki”, już będzie wiedział do czego zmierzam. Więc powiedziałem: - Ten człowiek zagroził mi, że mnie unicestwi, powiedział: - TY uważaj na siebie, bo TY wiesz, co MY z takimi jak TY robimy. - I te słowa należy brać poważnie, on był zdolny mnie zlikwidować, to nie były żarty. Oni na prawdę zabijali ludzi, zwłoki zakopywali w dziurach gdzieś po lasach, oni na prawdę torturowali ludzi, więc niech pan się nie dziwi, że dla mnie ten człowiek, oględnie mówiąc, ma brudne ręce i dla mnie każdorazowe minięcie go tu na korytarzu jest

kpiną, jest drwiną z jego strony, on się ze mnie śmieje. Ale niewątpliwie z czasem przywyknę do zaistniałej sytuacji.

Atmosfera w pokoju stała się naprężona do krańca wytrzymałości, ale nie zdejmowałem moich oczu z twarzy Nowaka, a on przez kilka dłuższych sekund miał te oczy zasłonięte ciężkimi powiekami, prawa ręka, jak martwa leżała na blacie biurka, wreszcie powiedział z jakimś dla mnie dziwnym westchnieniem:

- Ach, ja wiem, proszę pana, to wszystko jest mi wiadome, on się przede mną wyświadczył i ja mu wierzę. On sam nikogo nie zabił. Mnie bardzo przykro, że miał pan ten, nie wiem jak to nazwać, incydent, przykry, bolesny, prawdopodobnie nie do zapomnienia kiedykolwiek, ale ja prowadzę politycznie ważną instytucję i dlatego, że on pana uraził, ja dobrze się spisującego dziennikarza dla pana nie zwolnię.

- Nie po to panu o tym opowiedziałem, chciałem tylko, żeby pan wiedział - skinąłem lekko głową. - Pan wybaczy, ale - popatrzyłem na zegarek - na mnie czeka dziennik - podniosłem się z krzesła i wyszedłem.

Tu muszę moje sprawy pchnąć naprzód. Rzecz miała miejsce

jakieś dwa lata później, może mniej, nieważne. Ishbel, moja żona, poleciała na dwa tygodnie do Anglii. Byłem sam. Miałem przyjaciela, miał na imię Jerzy, ale w radio wołaliśmy na niego: Wowo. To zawołanie ma swoją historię. Wowo był z wykształcenia aktorem. U nas był jednym z lektorów, ja redagowałem dziennik, przez ścianę było studio, w którym on go czytał. Nam się bardzo dobrze z sobą pracowało, znałem wszystkie jego, w tym czasie, kochanki. Jedną, bardzo lubiłem, miała na imię Lilo. Tym imieniem posłużyłem się, nazywając protagonistkę napisanego wiele lat później opowiadania pt. „Biedna Lilo”. W tym czasie w Polsce, zwanej ludową, były już rejsy wycieczkowe bodajże do Danii. Wowo wziął udział w takiej wycieczce i gdy statek wracał przez Kanał Kiloński (?), wyskoczył z pokładu do wody, dopłynął do brzegu, gdzie zaopiekowali się nim przyglądający się Niemcy. W ten sposób Wowo wybrał wolność. Pierwsza praca jaką znalazł, zanim miał sposobność przeniesienia się do Monachium, były zmywaki. Miał coś skądś przynieść, pytał więc: – Wo? Wo? Gdzie? Gdzie? I to do niego przyłgnęło. Gdy ja go poznałem, mówił już płynnie po niemiecku. Tego dnia pracowaliśmy razem, dyżur mi się kończył o siódmej wieczorem. Wowo miał czerwony samochód sportowy, nie pomnę jakiej marki i odwiózł mnie do domu. Po drodze wspomniał, że u takiego a takiego kolegi będzie *party*, na które moglibyśmy się wybrać, jakby mi to odpowiadało. Przyjechał po mnie dwie godziny później, butelka wina leżała na siedzeniu, na którym się wygodnie ulokowałem. Ja mieszkałem na tzw. Schwabingu,

blisko samego centrum miasta, kolega, do którego jechaliśmy, mieszkał po drugiej stronie miasta. Tu, po prawej stronie ulicy wznosiły się wysokie kamienice w stylu *fin de siecle*. Ich frontony zdobiły balkony z kutego żelaza, miejscami obwieszane doniczkami, z których wylewały się gęste kiście kwiatów. Lewą stroną ulicy ciągnęły się drzewa o gęstych kopułach, w dole między nimi prześwitywała, srebrząc się migotliwie, powierzchnia powoli płynącej Izary. Wowo zwolnił, skręcił na prawo i z szerokiej bramy wjechaliśmy na rozległe podwórze. Z niektórych okien dolatywała muzyka, w staromodnej windzie z kutego żelaza wznieśliśmy się na piąte piętro.

Ten opis przepisałem dosłownie z opowiadania „Boska Christa”, które opublikowałem wiele lat później. Christa, jaką wymyśliłem, była niezwykle piękną kobietą, która się cudownie kochała, a jechaliśmy tą windą do mieszkania, gdzie miał początek nasz romans.

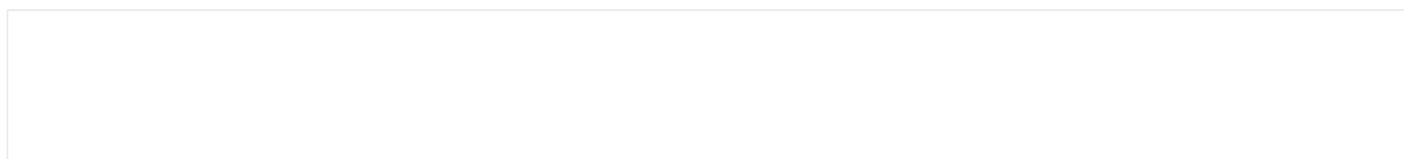


Nagranie w studiu Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa. Od lewej: Henryk Rozpędowski, Renata Rozpędowska i Jerzy Bozekowski, fot. audiovis.nac.gov.pl

Przyjęcie, zabawa, wylewały się z drzwi otwartych na szeroki korytarz. W chwili, gdy witaliśmy się z panem domu, który w radio pracował w tak zwanej produkcji, zobaczyłem trzy krzesła od miejsca, w którym stałem, Henryka Rozpędowskiego siedzącego w głębokim fotelu, żywo perorującego z facetem, którego widywałem w radiu, ale nigdy z nim nie rozmawiałem. Rzecz jasna, że gdybym wiedział, że tu się zetknę z tym człowiekiem, to bym tu nie przychodził, jasne. No nic. Ktoś mi wsunął do ręki szklankę, co to było, whisky? Whisky. Z tą szklanką w ręku połąziłem trochę po całym mieszkaniu,

większość osób tu obecnych była mi znana, kilku pytało, kiedy wyjdzie moja następna książka. A potem wróciłem do miejsca, w którym ten obchód zacząłem. Trzy krzesła ode mnie siedział człowiek, w którego mocy było kilkadziesiąt lat temu mnie unicestwić. Rozejrzałem się wokoło, na lewo ode mnie, dwa krzesła dalej, siedziała jego żona, Renata, też lektorka naszych dzienników. Ludzie byli już trochę podpici, mówili głośno, trochę już zbyt głośno i nie na tej samej fali. W pewnej chwili Renata krzyknęła głosem pełnym nieutajonej złości: - Mój Henryczek nigdy nikogo nie skrzywdził! - I nagle zrobiło się cicho i w tej ciszy jej Henryczek, bo miałem wzrok wbity w niego, machnął lekceważąco ręką i lekceważąco, z wielką dla swej Renaty pogardą, powiedział: - E tam, co ty tam wiesz!

Przejęzyczył się? Alkohol już się rozsiadł w jego głowie? W każdym razie przez dłuższą chwilę trwało wymowne milczenie, a ja znalazłem kolegę, który podał był mi mój pierwszy drink i palcem dziobając pustą szklankę dałem mu do zrozumienia, żeby mi dolał. W pokoju nadal wisiała gorzka zawiesina, którą rozerwały dopiero co wypowiedziane słowa, lekko niby replika przy brydżu: - Kochani, gramy dalej czy co? I zaraz zrobiło się gwarno jak na targu.



Piotr Guzy, polski pisarz, urodził się 15 maja 1922 roku. Syn powstańca śląskiego Juliusza, kształcił się (gimnazjum i liceum) w Tarnowskich Górach. Uczestniczył w kampanii wrześniowej 1939 i został internowany w Rumunii. Zbiegł do Francji, dostał się do wojska polskiego przy generale Sikorskim. Walczył we Francji, Belgii i Holandii w szeregach dywizji pancерnej generała Maczka, był ciężko ranny.

Po wojnie pozostał początkowo na Zachodzie, studiował ekonomię polityczną i filozofię na Uniwersytecie w Londynie. Założył w Anglii rodzinę, ale w 1949 przyjechał do Polski (z żoną i synem), uzyskując stopień magistra ekonomii na Uniwersytecie Poznańskim. W latach 1956-1957 pracował w redakcji „Tygodnika Zachodniego”.

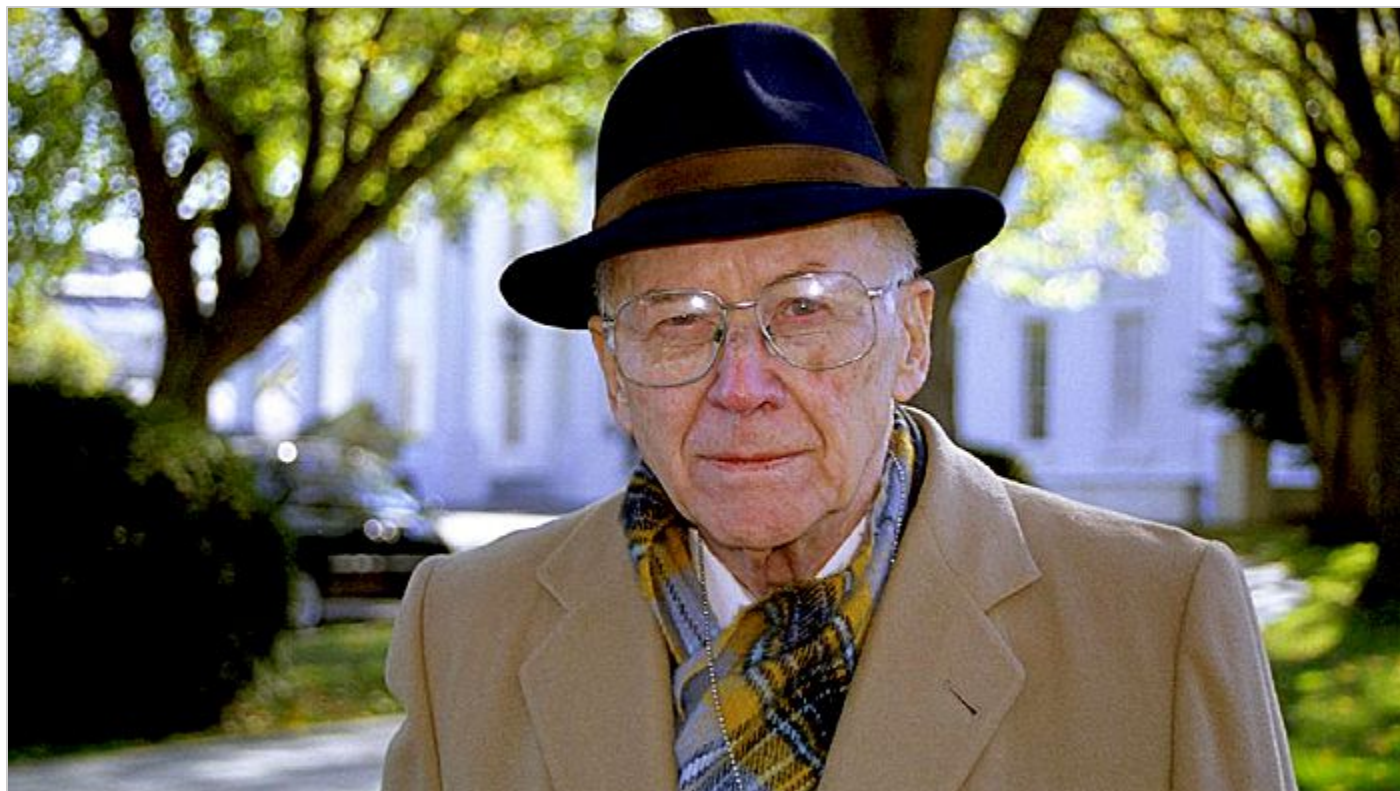
Prześladowany przez służbę bezpieczeństwa wyjechał w 1957 do Anglii (przez Berlin Zachodni), pracował w BBC; po przeniesieniu do Monachium współpracował z Radiem Wolna Europa. W 1979 zamieszkał w Hiszpanii.

Jest autorem kilku powieści, których akcję umieścił na emigracji lub w Polsce w okresie powojennym. *Krótki żywot bohatera pozytywnego* to monolog wewnętrzny kierownika powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa, przestraszonego wizją zmian w

atmosferze odwilży październikowej. Inna znana powieść, *Stan wyjątkowy*, przedstawia los rodziny inteligenckiej w skomplikowanych czasach po wojnie, z licznymi niebezpieczeństwami wynikającymi z pozornie błahych zdarzeń i znajomości z przeszłości.

Jest członkiem Związku Literatów Polskich (*źródło: wikipdia*).

Szczerze szło ze mną
pod rękę



Jan Nowak-Jeziorański, fot. TVP

Barbara Gruszka-Zych - *Pan nigdy nie uważał się za bohatera, ale dla wielu nim Pan jest - słynny Kurier z Warszawy. Dla najmłodszych, znających historię, bardziej interesujący od Jamesa Bonda. A kto dla Pana jest bohaterem?*

Jan Nowak-Jeziorański - Bohaterem jest człowiek gotów całkowicie i bezinteresownie poświęcić samego siebie innym, albo innemu. Zdolny wystawić na ryzyko wszystko, co posiada, nie wyłączając własnego życia, w służbie jakiejś idei altruistycznej. Byłem w czasie wojny świadkiem takiego

bezgranicznego bohaterstwa tylu ludzi, że bardzo mi trudno wymienić jakiegoś jednego bohatera. Szkoda, że to bohaterstwo przeważnie zostało zapomniane.

BGZ - *Czy w dzieciństwie miał Pan swojego bohatera z ulubionych lektur, opowiadań mamy?*

JNJ - W latach dzieciństwa taką postacią był Adaś Kalinowski, bohater „Dzieci Lwowa”, książeczki, nie pamiętam autora, którą przeczytałem jako dziecko. Adaś jako trzynastoletni chłopiec zginął w obronie Lwowa.

(...)

BGZ - *Kiedyś w rozmowie powiedział mi Pan, że tak zwani wielcy przy bliższym poznaniu wiele tracą. Co więc decyduje, jakie cechy, czy zachowanie, że ktoś jest wybitny, zostaje pozytywnie zapisany w historii?*

JNJ - Nawet najwięksi spośród wielkich są ludźmi i mają swoje ludzkie słabości. Z odległości widzi się tylko ich wielkie dokonania, zalety umysłu i charakteru, natomiast przy bliższym zetknięciu, zwłaszcza na co dzień, odkrywa się wady i niedostatki. To miałem na myśli, rozmawiając z panią. Kryteria wielkości są bardzo różne. Kazimierz Wielki stał się wielki przez swoje dokonania. Napoleon Wielki dzięki geniuszowi

wojskowemu. Tak samo Aleksander Macedoński. Abraham Lincoln jest uważany za największego prezydenta amerykańskiego nie tylko dlatego, że ocalił jedność Stanów Zjednoczonych, ale dlatego, że stał się apostołem demokracji w najlepszym tego słowa znaczeniu.

BGZ - *Znał Pan wielu sławnych ludzi. Przygotowałam listę postaci. Czy mógłby Pan scharakteryzować krótko poszczególne osoby: Eugeniusz Kwiatkowski, gen. Tadeusz Bór-Komorowski, gen. Kazimierz Sosnkowski, Edward Raczyński, Winston Churchill, kard Stefan Wyszyński, Jan Paweł II, Lech Wałęsa.*

JNJ - Z tych wszystkich nazwisk, które Pani wymieniła tylko trzech ludzi miało cechy wielkości: Eugeniusz Kwiatkowski, Prymas Wyszyński, Jan Paweł II. Z obcych dodałbym jeszcze Winstona Churchilla, skądinąd postać niesympatyczną. Inni mieli wielkie zasługi, ale to nie jest to samo co wielkość.

BGZ - *Jakie to uczucie kiedy można „pokierować historią”? Pan to czynił między innymi jako dyrektor radia „Wolna Europa”.*

JNJ - Nie przyznaję się do kierowania historią. Mam jednak poczucie, że zespół polski „Wolnej Europy” wywarł poważny i pozytywny wpływ na historię. W obecnym, tym ostatnim rozdziale mojego życia, usiłuję wpływać na politykę Stanów Zjednoczonych. Nie chcę tego wpływu wyolbrzymiać, ale wydaje

mi się, że w jakimś stopniu przyczyniłem się do rozciągnięcia parasola NATO nad Polską. Mam nadzieję, że w najbliższych dniach do tego dojdzie. To wewnętrzne poczucie daje mi olbrzymią satysfakcję.

BGZ - *Wielokrotnie wyrażał Pan podziw wobec mieszkańców stolicy, którzy z zapałem odbudowali miasto w sytuacji, gdy została zaprzepaszczona idea wolnej Polski. Pan również przez lata pracował dla kraju znajdującego się w beznadziejnej sytuacji. Czy miewał Pan chwile zwątpienia?*

JNJ - Miałem zawsze skłonność właściwą naszemu, polskiemu charakterowi narodowemu - trzymać się kurczowo nadziei, nawet w sytuacjach, które wydają się całkowicie beznadziejne. Nie traciłem jej nawet w najgorszych czasach, po Jałcie, w okresie stalinowskiej nocy. Ale raz jeden ogarnęła mnie skrajna rozpacz. Było to 18 albo może 19 stycznia 1945 roku. Przeczytałem w tym dniu doniesienie brytyjskiego korespondenta, który wkroczył do Warszawy za wojskami sowieckimi. Pisał, że miasto nie istnieje, że zamieniło się w całkowicie bezludne morze ruin i zgliszcz. Twierdził, że już w tym miejscu żadne miasto nie powstanie, bo samo usunięcie ruin i zwałów gruzu przekracza ludzkie możliwości. W dwa dni później ten sam korespondent donosił, że tak zwany Rząd Lubelski, postanowił przenieść stolicę Polski do Łodzi. Otóż przez tę jedną chwilę wydawało mi się, że nie będzie do czego

wracać. I to był mój moment zwątpienia.



Barbara Gruszka-Zych i Jan Nowak-Jeziorański, fot. arch.BGZ.

BGZ - *Minęły czasy kiedy bohaterstwo wymagało ofiary krwi. Jaki jest bohater naszych czasów?*

JNJ - Pozytywnym bohaterem na dziś powinien być Eugeniusz Kwiatkowski, który z niezwykłym talentem i wyobraźnią podnosił Polskę z niżu cywilizacyjnego, do którego zepchnęły ją rozbiory. Budowniczymi Polski są dziś ci, którzy z niebywałym

dynamizmem rozwijają inicjatywy i przedsiębiorczość. To oni tworzą Polskę.

BGZ - *Mój 12-letni syn mówi, że Powstanie Warszawskie było niepotrzebne, bo ludzie się zabijali. To nie przeszkadza mu uważać za wielkiego bohatera policjanta z filmów akcji. Nawet sam staje się bohaterem, zabijając postacie podczas gier komputerowych. Tamto zabijanie niosło śmierć, to jego „zabawowe”, daje szansę na wątpliwe bohaterstwo. Skąd się wzięło takie pomieszanie?*

JNJ - Osąd Powstania Warszawskiego jest pewną sztancą, wbijaną ludziom w głowę przez blisko pół wieku. Problem Powstania jest złożony i spór nad Powstaniem będzie się toczyć chyba przez następne stulecie. Natomiast zafascynowanie gwałtem i zabijaniem to przede wszystkim wpływ telewizji. Ściślej mówiąc tych filmów telewizyjnych, które szczególnie przyciągają dzieci i młodzież.

BGZ - *Ostatnio wiele się mówiło o płk. Kuklińskim. Jedni uważają go za bohatera narodowego, drudzy nie, gdyż kłamał, mówił swoim nieprawdę. Jakie jest Pana zdanie?*

JNJ - Nazywanie go zdrajcą jest nonsensem. Każda konspiracja polega na wprowadzaniu w błąd wroga. To wprowadzanie w błąd staje się koniecznością w walce z wrogiem zdecydowanie

potężniejszym. Ocena Kuklińskiego zależy od tego, kogo uznamy za wroga - czy Stany Zjednoczone, czy Związek Sowiecki? Znając dokumenty i relacje takich ludzi jak Zbigniew Brzeziński nie ma wątpliwości, że Kukliński współpracował z wywiadem amerykańskim dla Polski a nie przeciwko niej. Przekazywał informacje po to, żeby ją ocalić, a nie po to, by ściągnąć na nią jakieś niebezpieczeństwo. Józef Piłsudski, walcząc o niepodległość Polski współpracował z wywiadem austriackim przeciwko Rosji. Żołnierze AK współpracowali z wywiadem angielskim przeciwko Niemcom. Ja osobiście z żadnym wywiadem nie współpracowałem, ale jestem dumny, że prznosiłem w swojej poczcie raporty polskiego wywiadu, wspierającego wysiłki sprzymierzonych przeciwko Niemcom. Tylko ci ludzie, którzy w obronie swoich życiorysów, wciąż powtarzają, że Związek Sowiecki był sojusznikiem, a Polska była suwerenna, albo miała, jak to mówią, ograniczoną suwerenność, uważają Kuklińskiego za zdrajcę. Ale jedno i drugie jest fałszem. Polska nie była krajem suwerennym. Związek Sowiecki był zagrożeniem i wrogiem.

(...)

BGZ - *Proszę opowiedzieć jaki był Pana powrót do Ojczyzny po latach nieobecności? Co wywołało Pana największą radość od odzyskania wolności w 1989 roku?*

JNJ - Oczywiście powrót do Polski był najszcześniejszym dniem mojego życia. Nie opiszę w słowach tego nastroju, jaki mnie ogarnął, kiedy po czterdziestu pięciu latach samolot dotknął polskiej ziemi na Okęciu. Zobaczyłem ten napis na budynku dworca lotniczego - Warszawa. I te tłumy, które przyszły mnie powitać. Może najszcześniejszym momentem było to, co się stało następnego ranka, kiedy pierwszy taksówkarz, który wiozł mnie do miasta, odmówił przyjęcia zapłaty za kurs. (...)

BGZ - *Gdyby dziś zaczynał Pan swoją działalność, czym by się Pan zajął?*

JNJ - Szczęście szło ze mną pod rękę przez osiemdziesiąt cztery lata, do tej chwili. Nic nie mogło ułożyć się lepiej. Oczywiście, gdybym zaczynał dzisiaj życie na nowo, z doświadczeniem, jakie zebrałem w ciągu całego życia, to na pewno uniknąłbym wszystkich błędów, które wynikały z jego braku.

Rozmowa przeprowadzona w 1998 r.

Cichy bohater



Aleksandra Ziółkowska-Boehm i Norman Boehm, Warszawa, fot. arch. rodzinne.

Nie jest żadnym odkryciem, że na drodze do NATO Polska nie miała samych sojuszników. Wśród sił, które – z różnych przyczyn – nie były zachwycone tą perspektywą, znalazła się część

amerykańskich elit politycznych i tamtejszej opinii publicznej.

W przełamywaniu negatywnego stosunku odegrało rolę wiele osób, znanych i nieznanych. Do tych drugich należy, niedawno zmarły, Norman Boehm (1938-2016). Ten Amerykanin o szwedzko-niemieckich korzeniach bezinteresownie i z powodzeniem włączył się w kampanię na rzecz Polski.

Kim był? Najkrócej - człowiekiem sukcesu, prywatnie - kuzynem wielkiej aktorki Ingrid Bergman. Wszechstronnie wykształcony (studia chemiczne i prawnicze), pracował w charakterze menedżera w koncernach naftowych ARAMCO (Arabian American Oil Company) w Arabii Saudyjskiej, dla Exxon (Esso) w Anglii, Norwegii i Teksasie. Zasłynął w 1976 roku wynegocjowaniem największego kontraktu w historii Esso i Shell, dotyczącego szybów wiertniczych na Morzu Północnym, na zawrotną ówczasie kwotę 462 milionów dolarów. Zgodnie z najlepszą amerykańską tradycją miał też za sobą służbę wojskową, jako pilot marynarki wojennej.

Szczęśliwym zrządzeniem losu był mężem Aleksandry Ziółkowskiej, polskiej pisarki, zaangażowanej na rzecz Polski i Polaków na trudnym amerykańskim terenie. To jej zawdzięczamy, że Norman stał się - jak napisała - „niemal polskim patriotą”. Nie znając polskiego, zadał sobie trud poznania i zrozumienia niełatwej dla obcokrajowca polskiej

historii. Wiedza ta stała się solidnym „oprzyrządowaniem” merytorycznym, gdy zaczynała się Wielka Gra o NATO. Dodatkowym atutem były jego umiejętności negocjacyjne oraz znajomość specyfiki amerykańskiego rynku politycznego z jego mechanizmami i niuansami.

Kluczowe znaczenie dla decyzji USA o przyjęciu Polski miał Senat. Autor *Polskiej drogi do NATO* (Wrocław 2006) Jan Nowak-Jeziorański szacował, że około 1/3 amerykańskich senatorów stoi po przeciwnej stronie barykady. Aleksandra i Norman Boehm odegrali istotną rolę w ich reorientacji. Akcja polegała na zasypywaniu biur senatorskich listami i interwencjami. Norman Boehm wykorzystywał również media, w tym lokalne, co zmuszało indagowanych polityków do wyjaśnień.

Działania o charakterze lobbingsowym przebiegały dwutorowo. Z jednej strony wywierano nacisk na polityków, z drugiej – na wyborców. Tych drugich należało przekonać i pozyskać dla sprawy polskiej, by z kolei oddziaływali na swoich senatorów, stanowych i federalnych. Nowak-Jeziorański nazwał obrazowo tę technikę „masażem przez wyborców”. Zaangażowanie Normana wyraziście podsumował, jako wręcz nieprawdopodobną skuteczność. – Czegoś podobnego jeszcze nie widziałem – napisał w prywatnym liście do Aleksandry Ziólkowskiej-Boehm.

Warto zaznaczyć, że Norman Boehm do końca życia pozostał

człowiekiem skromnym, ciepłym, powściągliwym i nie chwalił się swoimi dokonaniem na rzecz Polski, a było ich więcej. Takich przyjaciół brak najbardziej. Zawsze i wszędzie.

BM

Ministerstwo Obrony Narodowej

źródło:

<http://www.mon.gov.pl/polska-w-nato/droga-do-nato/cichy-bohater-r-2016-07-03/>